Lwów 13. Września **Nr 109.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

VI.

W Żółkwi.

(Ciąg dalszy.)

Lecz w chwili, w której wchodzimy do tej izby, chata nie była pustą. Na wpół rozwalonym przypiecku stała głownia niedopalona; na stole zaimprowizowanym na prędce ze spruchniałej tarcicy na starej beczce, świecił się słabo ogarek jakiś, w którego niepewnem świetle prócz kiwających się dwóch stołków, widzimy w kącie izby trochę słomy zmierzwionej, rozrzuconej niby na posłanie. Jakoż na tym barłogu, niknąc w cieniu, leżała rozciągnięta postać ludzka. Był to chudy jakiś i kościsty, a nadzwyczajnie długi mężczyzna, leżał przykryty jakąś czarną, mocno zużywaną, woskiem pokapaną kapą, która sto może rozmaitych osłoniwszy trupów, miała teraz żyjącemu ciepła użyczyć. Leżący pod kapą wydawał by się także trupem, gdyby nie silne jego chrapanie. Dodajmy jeszcze, że niedaleko od niego leżały rozmaite przedmioty, jako to: paręset gwoździ, dwa wielkie klucze, kilka postronków, dzban z piwem i stare berlacze. Lecz śpiący nie był sam jeden gościem tej chaty. Chwilowemi jej mieszkańcami było całe towarzystwo, z którym się teraz zapoznać musimy, towarzystwo zupełnie godne tego pomieszkania, bo tak bez imienia, jak chata bez pana, bo tak moralnie poniszczone, jak ta fizycznie, usposobieniem i ubiorem do prawdziwej ruiny podobne.

Troje ich tam siedziało. Nazywali się między ludźmi póki jeszcze między ludzi chodzili: Maciej Kręcigęba, Wojciech Miazga i Basia Szalska. Czem byli, tego nikt z pewnością wiedzieć nie mógł, i oni sami niewiedzieli, bo żadnego pewnego uznanego nie mając zajęcia, żyli z dnia na dzień, goniąc myślami za wydobyciem zysku jakiemi bądź środkami. Najwięcej znani byli pod nazwą żebraków, jakoż w dzień, jeżeli co ważniejszego im drogi nie zaskoczyło, można było widzieć ich siedzących na schodach kościoła, wzniesionego przez Żółkiewskiego, wyciągających ręce, głosy i oczy szpiegujące, ażali w tłumie nie da co więcej się złapać nad jałmużnę. O zmroku opuszczali kościół, nie by do własnych wrócić pomieszkań, bo tych nie mieli, ale rzucali się w miasto i przedmieścia, resztę nocy oddając się rozmaitej rozpuście i pijatyce, a jeżeli się udało i zbrodni także.

Przypatrzmy się powierzchowności tej prawdziwie hultajskiej trójki; ona sama zdradza ich. Maciej Kręcigęba miał lat przeszło 60, nosił długą brodę nie zupełnie jeszcze siwą, ale za to brudną należycie; dziwnie wyglądała jego głowa łysa zupełnie, z czołem tak wypukłem, że z pod niego kocie jego oczy, jakby z pieczary jakiej oczy dzikiego zwierza, złowrogo świeciły. Wisiał na nim płaszcz niegdyś biały, dziś od różnorodnych plam srokaty prawie; krzyż na nim czerwony świadczył, że jego właściciel w lepszych czasach był dziadem przy katedrze lwowskiej. Wojciech Miazga, lubelczyk rodem, starszy był jeszcze od kolegi, a mianowicie mocniejszy, co poznać można było po jego krępej i żylastej postawie, po pięściach ogromnych, do kowalskiego młota podobnych. Brodę miał siwiuteńką, co przecież nie dodawało ani powagi twarzy śniadej, przepalonej zda się wszystkiemi najbrudniejszemi namiętnościami, ani przyjemności oczom patrzącym z nienacka i zdradliwie. Miał on na sobie rodzaj wytartego kontusza, o którego pierwotną barwę trudno się pytać, bo czego brud nie zamazał, to zakryły mnogie łaty. Barbara Szalska nareszcie, o której płci, wieku i urodzie trudno by było sądzić, gdyby nie strój niewieści. Rozpusta i zbrodnie starły z jej twarzy znamie delikatniejsze płci i wdzięków niewieścich; zostały tylko pryszcze obrzydliwe, w których mieściły się wszelkie dzieje jej przeszłości i jej mnogich grzechów. Nie ubrana, ale okryta była łachami różnobarwnemi, zeszytemi razem, tworzącemi całość odpowiednią życiu podobnych kobiet: zbieranina to prawdziwa po różnych śmieciskach wyszukana. Siedziała ona na stołku zgięta nad garnkiem, w którym skąpy rozdmuchiwała żar, mający ogrzać lekko ubraną. Maciej dopychał z największą forsą małą glinianą fajkę, i rozdmuchiwał głownię, by z niej dla siebie ognia wydostać, a Wojciech od czasu do czasu zaglądał do dzbana.

— Mówiłam wam Wojciechu! ozwała się Basia, że tego Swalanta nie należało mieszać do tego wszystkiego. Widzicie jak się zapił, musimy czekać, aż wytrzyźwieje a w końcu zdradzić może.

— Jaka ty mądra Baśko! Żeby ja miał trzydzieści

lat, to sambym te kamienie odwalił, a teraz człowiek zrobek ledwie łazi, a do tego czasy tak ciężkie.

— To macie przecie Macieja do pomocy.

— Ot pleciesz jak głupia baba. Tam i dwóch Maciejów by nie pomogło, bo tam trzeba ogromne kamienie podnosić. Tyś tam nigdy nie była, a ja był przecie dwa razy, jak chowali królewicza Jakóba, i jak graf Laskarys obejmował kościół. Drugim razem było nas podobno sześciu do tej roboty. A trzebaż przecie kamienie nazad tak włożyć, aby najmniejszego znaku nie było.

— Bardzo ładnie mówicie! przerwał Maciej! a czas tymczasem uchodzi. Dziesiąta biła, jak chodziłem po piwo, teraz najmniej jedenasta.

— A ja znam tego pijaka; gotów do białego dnia chrapać.

— Za godzinę będzie dosyć czasu obudzić go bo przed północą nie możemy wyruszyć.

— Nic byto nie było, żeby nie takie djabelskie zimno, człowiek może zamarznąć. Nie nas to pyta luty, czy mamy bóty.

— Jak się nam uda, będą bóty i to nie jedne.

— A przecież to wielki grzech obdzierać trupów! ozwał się Maciej. A jak który będzie się na to patrzał z góry?

— Stary a głupi! jak krew przestaje biegać po człowieku, to już fertyg i fertyg na zawsze.

— Słuchajcie no, ja wam powiadam, że lepiej było u Dominikanów, tam przystęp jakoś łatwiejszy.

— Mój ty Maćku! pytaliście na co Swalanata wzięliśmy, bo mocny!.. ale żeby mnie kto spytał, dla czego my was wzięli, dalibog nie wiedziałbym co powiedzieć. Ta że u Domnikanów niema już co szukać? Ot ta tarcica to z trumny Marka...

— Są tam inni!...

— Matka jego to już dawno bez jedwabnych pończóch leży.

— Hej! hej! ozwał się znowu Maciej lubiący filozować, jak to człowiek najlepszy i po jakich drogach może przyjść do biedy. Hej! jak sobie przypomnę dawne czasy, ot i tak niemamy co lepszego robić; muszę wam opowiedzieć, jak ja na to zeszedł.

I wychyliwszy piwa, a wypuściwszy z fajki parę dymów, tak zaczął.

— Mój ojciec był Michał Kręcigęba, a matka moja z Krzyżów; prowadzili oni, boże daj im niebo, życie bardzo bogobojne i poczciwe, choć nie pochodzili z rodu szlacheckiego. Jakim sposobem dostał się mój ojciec na dwór Sieniawskiego, co miał za sobą księżniczkę Radziwiłównę z Litwy, już tego dobrze nie wiem, to wiem tylko, że miał sobie oddany kredens, czego nie łatwo dostąpić u takich panów. Na to wybierano zawsze ludzi poczciwych, statecznych, nie trunkowych, bo tu u tych panów wielkie dostatki. To nie mała rzecz prowadzić rachunek z tylu waz, talerzy, półmisków, stołowej bielizny, szkieł, i drobniejszych sreber. To nie mała rzecz była pilnować, bo tego było brykami, a tu we dworze coraz nowi goście; służby swojej i cudzej tak wiele, że trudno nawet poznać każdego.

Baśka aż klasnęła językiem!

— Żeby to nam taki kredens!

— Moi rodzice, ciągnął Maciej dalej, długo nie mieli dzieci, aż mnie nakoniec jedynaka, i siostrę Zofię, lecz ta w krótce na zadławkę umarła. Jaśnie wielmożni Sieniawscy po wydaniu drugiej córki za p. Potockiego, Wojewodę Bełzkiego, z którejto urodził się dzisiejszy starosta Kaniowski, poskąpili się cokolwiek, nie wiele wyjeżdżali i nie bardzo przyjmowali. Memu ojcu było to po myśli, bo mógł się zająć własnem gospodarstwem. Jedyny syn państwa, hetman wielki koronny, na którego ojczyzna troszkę narzekała, jakby to przed nim i po nim lepiej się działo, odziedziczył całe mienie po rodzicach, prócz dóbr, co się córkom zostały. Lubił on bardzo mego ojca, i jako gracjalistę uważał zawsze. Nieraz go obdarowywał, do czego między innemi był jeden dziwaczny powód. Pan hetman miał za sobą Lubomirską, a tak byli oboje bogaci, że ani jedno ani drugie nie byli wstanie spamiętać wsi do mnogich kluczów należących. Więc też nieraz przymawiali sobie żartem oboje. Ona jemu: jak rządzić kiedy niewie czem się rządzi? On jej na to: Jak zostawszy wdową będzie praw swoich dożywotnich dochodzić? Na zgodę nie szli do rejestru, ale wołali Michała Kręcigębę, który im przez pół godziny recytował wszystkie wsie i zwykle dostawał za to talarka a czasem i dukata. Dosyć, że mnie rodzice wkręcili za chłopca do usługi do młodych Potockich, stojących we Lwowie na osobnej stancyi. Panięta te mieli i nauczycieli i dyrektorów, i metry, i pociąg sześciokonny, i kilka wierzchowców, i podejmowali u siebie co święta całą młodzież, ale tylko pańską.

Złote to u nich życie było; a bywali tam Radziwiłłowie, Sapiehowie, Sanguszkowie, Tarłowie, Mniszech, i tylu innych. Owoż tam to już pierwsze złe weszło we mnie, zazdrość niezmierna tych bogactw, tego życia, tego ich szczęścia. A potem był tam jeden z dyrektorów, co lubił trunki, on mnie nieraz po nie posyłał, a przecież nigdy darmo. Jak ja się do tego przyzwyczaił, zacząłem pomału i paniczów moich psuć, nakłaniać do łamania postów. Ile ja to potajemnie przyniosłem im od Wiszki, bogatej mieszczki, rozmaitych kapłonów tuczonych, drobiu i kiełbas grubych dorotkami zwanych. I tak pomału przyszło do tego, że wkradałem dla nich niejedną buteleczkę wina. Wszystko się doskonale udawało, a na mnie jak grad spadały marcypany rozmaite, łakocie, suknie przeszarzane, kiereje, opończe, bekieszki i czamarki.

Ale wielki za to oni brak czuli, brak pieniędzy gotowych, bo rodzice nie dawali im do rąk. Ja już wówczas

byłem przebiegły i wymyśliłem niezły koncept. Przyjeżdżali nieraz do Lwowa z rozlicznych dóbr rodziców i stryjów paniczowskich liczni komisarze czyli gubernatorowie jak ich wówczas nazywano. Miałem naturalnie przystęp do nich; a oni kradnąc rodziców, a chcąc sobie zaskarbić na przyszłość łaskę dziedziców, dawali zawsze na rozkaz paniczów po kilka i więcej czerwonych. Lecz póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Tak też i ze mną było. Trzeba wiedzieć że ja byłem odstawiony na osobno do usługi pana Mikołaja Potockiego, dzisiejszego starosty Kaniowskiego, który żyje dotąd, i świat cały zadziwia bohatyrstwem i rozumem swoim. O toż razu jednego gdy się w moim paniczu zaczynały obudzać rozmaite ochoty, grubo mi zapłacił za to, abym ja jednej nocy spał za niego w jego łóżku. I byłoby się wszystko doskonale udało, gdyż zwyczajnie pan dyrektor przychodził tylko po ciemku, i delikatnie macał czy wszyscy są w łóżku.

Ale tym razem diabeł inaczej chciał; trzeba nieszczęścia żeby nadjechał sam Wojewoda Bełzki w nocy, i zapragnął uściskać swego jedynaka junaka. Rzuca mi się zaspanemu na szyję, poznaje... i nuż tłuc w mordę. Nazajutrz wypędzili mnie. Różnie się odtąd żyło, ale człowiek miał nieco grosza, a był przyzwyczajony do życia wykwintnego, wygodnego i próżniaczego... Ot różne wyrabiało się rzeczy, dopóki....

— Dosyć już Maćku!... Dobrze cię nazywają Kręcigębą, bo lubisz nią mleć bez ustanku. Wszyscy ludzie tacy jak my przechodzą przez podobne awantury. To znajome rzeczy!... Ja bym wolał wiedzieć, jak Baśka nasza przyszła do stosunków z Swalantem, który przecie choć może najlepszy człowiek, ale zawsze jest cyganem.

— Niema w tem sekretu, kiedyście ciekawi, to wam opowiem. Byłam ja służącą u wielmożnej Repsyndy Awakowej; była to obywatelka z rodu ormiańskiego, który wszyscy panowie nasi lubili i miłowali, bo to bywał u nas zawsze ród rycerski, choć tam jak mówią gdzieś ze wschodu pochodzi. Moja pani była bardzo świątobliwa, ba nawet święta, i żyła z sobie tu w Żółkwi koło bramy Zwierzynieckiej z wielkiego dochodu, który jej familia wypłacała regularnie co roku. Miałam ja u niej wielki statek, i wielką sprawiedliwość. Jedną tylko miałam przykrość, że z godzinę najmniej codzień słuchać trzeba było morałów, które sypała jak z rękawa. A przecież gdyby był człowiek lepiej słuchał, nie byłby tak nisko spadł. Lecz co się miało stać, to się stało. Do tej naszej bożej Żółkwi jak sami najlepiej wiecie, różny się zawsze naród ściąga; jakoż leżą tutaj kości z kozaków, tatarów, żydów, rusinów, ormian, polaków i cyganów. Jakoż się tedy tak zdarzyło, że na wiosnę, świeżo po szarańczy, rozbili sobie cyganie namiot tam za miastem pod Harajem. Chociaż lud szemrał, że bydło jakoś znikać zaczęło, ale jakoś wszyscy przez szpary patrzyli, bo byli z nich dobre kowale, a muzykanty jeszcze lepsze.

Niedzielny ich ubiór, niebieski ze śrebrzonemi guzami, dziwnie im do twarzy przypadał. I człowiek zaczął zwracać oczy za tym Swalantem, bo przyznać trzeba że równego mu chłopa nie tak prędko znaleść można było. Dżordżo Swalant jak go nazywali, chodził pilnie do kościoła, gdzie na niego oczy zwracano, mianowicie ja, i poznawszy się zemną bliżej, obiecał się żenić ze mną. Ja mu uwierzyłam, bom tego łotra cygana bardzo kochała. Śliczne to było chłopczysko, aż mi go inne dziewki zazdrościły. Jedyna moja obawa był zupełny brak majątku, bo on zwyczajnie jak cygan nigdy nic nie miał, a ja wiedziałem że od mojej Awakowej złamanego szeląga nie dostanę, jak się tylko dowie, że ja za cygana chce iść za mąż. Tymczasem szczęście samo do niego przyszło. Jakoś to podtenczas jechał przez Żólkiew Xiążę Czartoryski, wojewoda ruski; jechał oczywiście dworno jak na pana takiego przystało. Na trakcie jechało husarzy jak chmary; było tam ze dwieście koni; a pojazdów było kilkanaście, a w każdym coraz innych sześć koni, i nakoniec bryki z pakunkami i kuchnią. Trzeba przypadku że tego samego dnia Swalant pędził ze Lwowa do Żółkwi na swoim jednym koniu, który miał trzy maści na sobie, to jest plamy kare i bułane na białem tle. Nudziło to cygana że nie śmiał wyprzedzić pańskiego orszaku; a tu tymczasem dworscy drwili z niego. Że to każdy człowiek, a tem więcej wielki pan nudzi się w drodze, doszło to jakoś do Xięcia, który kazał cyganowi podjechać aż do drzwiczek karety. Koń mu się bardzo podobał, i kupił go zaraz za 80 dukatów, które mu tej chwili wyliczyć kazał.

Że to się działo pod samem miastem, więc tylko konia na rozkaz księcia zarpowadzono do Swini, gdzie go mydłem tarto, aby się przekonać, czy ta trzecia maść cygańską jaką nie udana sztuką. Dosyć że były już i pieniądze; już i pani Awakowa zastawszy raz w kuchni mego cygana, wytłukła mnie należycie i wypędziła ze służby. Ale mój Swalant, prawdziwe cyganisko udał że jedzie do Lwowa aby się ostatecznie oporządzić. Jak pojechał, tak już nie wrócił. Dostał się do Xięcia Sanguszki, i aż do Dubna, gdzie jak mówiono był przy dworskiej kapeli i bardzo lubiony przez Xięcia. Aż po latach czternastu wróciło cyganisko do Żółkwi stare, rozpite i gołe, i dotąd wala się tu po mieście.

Korzystając z przestanku mówiącej Wojciech zaczął budzić Swalanta.

— Panie Swalant a wstawajże.

— Czego chcesz?

— Czas już maszerować!

— Odczep się odemnie.

I niebyliby zbudzili cygana, gdyby się nie wzięli na sztuki. Baśka nagle zaświeciła mu w oczy, a obaj mężczy-

*

źni porwawszy Swalanta za ręce postawili go jakoś na nogi. Pomału też całe towarzystwo poczęło się ładować do pochodu.

Umówiono się, że Swalant z Baśką iść będzie naprzód aby żadnego niewzbudzić podejrzenia; Wojciech zaś z Maciejem, i całym przyrządem mieli postępować z daleka. Maciek wniósł jeszcze, aby izbę zamknąć, ale się wszyscy rozśmieli, bo i cóż mieli zamykać? słomę, próżny dzban, i parę podartych berlaczy.

Wkrótce też wszyscy zgromadzeni byli w kościele. Łotry dobrze swój czas wybrali, w niebytności bowiem bawiącego w Rzymie opata Laskarysa, księża mniej uważali, jedni spali, a drudzy po interesie do Lwowa wyjechali.

Najtrudniejszem było zadaniem pozasłaniać okna, aby światło nie biło na ulicę. Na to trzeba było adamaszek co jeszcze od bożego narodzenia wisiał na ścianach, poprzesuwać i umocować na oknach. Drabinki i gwoździe pomogły im, jakoż ta robota wnet była ukończona. Zamknięto kościół ze środka.

— Już to najmniejszego niema w tym kościele porządku, mówił Wojciech sentencjonalnie. Inaczej dzieje się u Bazyljanów, tam to opat tęgi, i porządku przestrzega, i dobrych śpiewaków trzyma. Dalibóg wart być biskupem. A tu patrzcie tylko!...

— Zwyczajnie; przerwała Baśka, jak niema gospodarza w domu...

— Przestańcie gaduły! ozwał się Maciek. Już i tak niemało straciliśmy czasu z tym przeklętym Swalantem, który widząc co się święci, upił się jak na to.

— Co wy wiecie głupcy! odpowiedział Swalant. Upiłem się bom się cały dzień nudził, czekając na jednego paniska znajomego, który miał dziś przyjechać z Podola. A to inna ważniejsza sprawa, i panisko nie taki łapserdak jak wy.

— Ot łże jak cygan! mruknęła Baśka.

— Do roboty! do roboty! gromił Maciek.

Wynaleźli łotry jakieś drągi żelazne, i przystąpili do odwalania kamienia jednego i drugiego, wiodących do grobów podziemnych. Dzięki nieposolitej sile Swalanta, odwalili oba kamienie. Groby były już otwarte. Nagle z drugiego grobu zawiał ich smród jakiś. Zatrzymali się zdziwieni.

— Co to? rzekł jeden.

— Smród, jakby z niedawnego trupa! dodał drugi.

— Z niedawnego trupa, powtórzył Swalant z dziwnym wyrazem, i zamyślił się chwilę. To szczególna rzecz! dodał kiwając głową.

Wybiła właśnie pierwsza po północy na zegarze zamkowym, gdy to zacne łotrów towarzystwo do podziemnych sklepień spuszczać się zaczęło. (C. d. n.)

LATO.

Pogodne słoneczko na zachód się zniża,
Liście z drzewa lecą, jesień się przybliża;
W wieńcu przeplatanym jabłkami, gruszkami,
Już lateńko, lato staje przed wrotami:

—Cóż odemnie chcecie, albož to wam mało?
Przyniosłom wam zboże co w polu bujało:
Przyniosło maliny i słodkie jagody,
Makiem, stokrociami barwiło ogrody.
W łąkach wychuchałom gwoździki, ostróżki,
Chodowałom zięby i kukułki wróżki.
Owiewałom w pracy leciuchnym powiewem,
Usypiałom ptasząt rozkochanych śpiewem,
Rozpuściłom rzeki po szerokiej ziemi,
I małe strumyki niciami srebrnemi.
I cóż więcej chcecie? — powiedzcież mi za to.
Dobreś ty lateńko, Bóg ci zapłać lato.

— Przechwalasz się samo, bo nikt cię nie chwali,
Ni wdowy ubogie, ni żaczkowie mali,
Coś ojców im wzięło i matki jedyne,
Krzyżami, wzgórkami pokryło dolinę,
Pokryło dolinę, na którą z daleka
Otwiera się smętna sieroca powieka.
I gdyby nie Pani w gwieździstej koronie,
Co każdą sierotkę piastuje na łonie,
I pieśnią anielską sen słodki nawodzi,
Łzy zwiewa kropliste i lica pogodzi,
W niebiosach pamięta o najlichszym prochu,
To piersi by ludziom pękały od szlochu.

Hej! lato, lateńko, tyś w cichą dąbrowę
Przyniosło okrutne powietrze morowe;
Tyś zboża na polu spaliło do szczętu,
Że tylko się słoma została ze sprzętu.

Za nędzę okrutną i któż cię pochwali..
Mogiłki zostawiasz i odchodzisz dalej,
I pustki zostawiasz i bladą tęsknotę,
I drżącą u bramy cmętarza sierotę,
I trawą zarosłe wiejskiej chaty progi,
I gruzy bezludnych miasteczek u drogi.

— Żal mi was kochani, lecz mojaż to sprawa,
Że kraj nasz nawiedza niedola ta krwawa;
Czyliż wy niewiecie, jak wszystko się staje,
Że kogo Bóg kocha, krzyżyki mu daje,
I patrzy na niego, czy umie je znosić?
A potem już tylko potrzeba go prosić,

A wszystko w trójnasób nagrodzi mu hojnie,
W oborze, w chałupie, na roli i w wojnie.

Za smutek latosi ujrzycie z powrotem,
Jak zbożem na polach nagrodzę wam złotem;
Owieczki spokojne rozsypię po niwie,
Ogrody wiosennym deszczykiem ożywię;
Naznoszę wam dzieci, a samych chłopaków,
A samych Mazurów, samych Krakowiaków.
Dzień każdy łagodną oświecę pogodą,
I chaty i dwory rozjaśnię swobodą.

— Już lepiej nie gadaj, rób tylko nieboże,
A ja ci na rozścież chałupę otworzę;
A tylko pamiętaj, dzieweńko kochana,
Jak będziesz na wiosnę wysyłać bociana,
To niechaj Mazurom, co siedzą w tym lesie,
Najpierwej na skrzydłach to szczęście przyniesie.

L.

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

— Niedobry! ty mnie nie wierzysz? ozwał się głosik dźwięczny niewieści.

A był to głos tak czysty i pełen uroku, jaki się tylko dobywa z piersi niewieściej raz jeden i przez krótki czas, bo w wiośnie życia i w wiośnie budzących się uczuć, póki go nie ochrypią złe namiętności i codziennego życia kłótliwe kłopoty.

— Tobie wierzyć moja luba, wszak to rozkosz najwyższa; odrzekł głos mężczyzny, dźwięczny siłą, zmiękczony uczuciem. A wierzaj mi zapał chociażby największy trwać długo nie może; i nie trzeba go wystawiać na próby nadludzkie...

— To chyba u was mężczyzn! ale my kobiety!

— Wy jesteście najpoczciwsze stworzenia, ale właśnie dla tego słabe...

— Otóż powtarzam ci nieznośny skeptyku! powtarzam chociażbym za karę twojej niewiary przystać powinna na twe zdanie, powtarzam że cię kocham nad życie, i kochać będę nietylko do śmierci, ale i po śmierci nawet.

— Najdroższa! chcesz bym wierzył... wierzę... wszak to szczęście wierzyć, i jeszcze w takie wierzyć słowa.

— Tak Leonie! kocham cię nad życie...

— Wierzę!.. odrzekł mężczyzna patrząc w oczy jak niebo cudne, a promieniste jak gwiazdy na niem.

Miła rozmowa taka, i nie jednemu zadrzy przy niej serce wspomnieniami dawnemi jakby ciało martwe galwanicznym słupem poruszone. Lecz muszę przerwać aby za porządnym idąc trybem opowiedzieć naprzód, kto to tak czule i pięknie rozmawiał.

Byli to oczywiście kochankowie w onych chwilach pierwszych ognistych uniesień miłośnych, w których daleko jeszcze dziwniejsze bajki nad „miłość nad życie" wydają się prawdą. Każdy z nas coś podobnego choć raz w życiu plótł, i raz w życiu wierzył i sobie i kochance, i światu, i niebu, i ludziom i aniołom, i żył prawdziwie istną bajką w wyobraźniowym tysiącu nocy.

Leon tedy i Bronia kochali się jak się kochać zwykło w wiośnie życia. Ona jako dziewica była jeszcze w maju życia, tym miesiącu niepokalanych jeszcze barw, woni, i tchnień wiośnianych; on był także w wiośnie życia jeszcze, chociaż może już w czerwcu, którego burza i spiekota mącą już świeże wiosny wdzięki.

Stosunek ich nic nie miał nadzwyczajnego. Poznali się i pokochali we Lwowie, mieście jak wiemy przecie najmniej niezwyczajnościom sprzyjającem. Leon był to sobie poczciwy chłopak, praktyczny dosyć syn swojego wieku, czy szlachcic czy nie tego niewiem i on podobno niewiedział, aplikujący się od lat już kilku w jakimś urzędzie, mający niezłe nadzieje na protekcyach oparte. Miał przytem piękną urodę, która nie zawadza, i jakiś tam niezły kapitalik, który wiele w życiu pomaga.

Bronia była z rodu czystoszlacheckiego, córką i wnuczką osiadłych szlachciców. I kochała się na zabój w koncepts praktykancie. O czasy! o obyczaje! krzyknie nie jeden, czyli raczej pomyśli tylko w duszy. Do tegoż to przyszło z nami, po drodze tych jakichsić djabli wiedzą zkąd przybłąkanych ideów postępowych.

Smutne to! niema co mówić. Lecz co prawda to prawda, kochali się na piękne. Bronia była dobrą dziewczyną, co po prawdzie nie wiele znaczy, bo po prawdzie powiedziawszy, ja żyjąc już sporą lat porcją, nie zdybałem jeszcze złej dziewczyny; wszystkie gdyby anioły! A jeżeli szatańtwo się gdzie pojawi, to chyba za kotarą małżeńską, która jest prawdziwą kurtyną odsłaniajacą mnóstwo najtragiczniejszych tragedyi. Przytem Bronia była doskonale wychowaną, bo grała na fortepianie nawet sonaty, śpiewała jak się zwykle śpiewa, gdy się ma głos świeży, piersi siedemnastoletnie i twarzyczkę ładną; tańcowała z gracją, coś tam nawet wyuczyła się z historyi i jeografii, tak że rozumiała doskonale, że co Francuz to mieszka w Paryżu. Ale za to literaturę romansową tak liczną w naszym nieromansowym wieku, znała od deski do deski. A że miała z natury serce dobre i czułe, uwierzyła na prawdę w romansową miłość, i pokochawszy przystojnego Leona, uwierzyła najmocniej w to, że go kocha miłością jakąś wyższą, gdzieś tam w siódmem niebie poczętą, w krainach marzeń wykołysaną, po zaczarowanym wyobraźni raju błądzącą. I dlatego powtarzała Leonowi ciągle:

— Kocham cię nad życie!

I powtarzała ciągle tak długo, aż Leon uwierzył święcie. Bo nic w tym względzie zabawniejszego, jak owi prak-

tyczni mężczyźni, siedzący zwykle przy biurach z głową pełną wiadomości. Łatwowierni aż do naiwnej świętości, wierzą w anielstwo kochanki; wierzą potem jeszcze mocniej w anielstwo żon. Szczęśliwi ludzie! za to też nikt od nich lepszych nie pożywa sztrudlów, nikt spokojniej na puchowym nie usypia jaśku.

Lecz dosyć już tych romantycznych pogadanek. Spieszmy się, by przyjść w rzeczywiste tego szkicu zdarzenia, które powiem nawiasem są tak prawdziwe, jak prawdziwą każda, choćby najmniej nieprawdopodobna zmiana w naszem żadną formułką nie dającem się ograniczyć życiu.

Powiem tylko, że ta rozmowa czuła skończyła się na tem, że Leon nie tylko uwierzył w słowa Broni, ale sam porwany szałem plótł niestworzone androny o swej miłości, i na zakończenie do tak zapamiętałej przyszedł czułości, że z oczami i palcami w niebo wzniesionemi przyrzekł kochance, że się jej w dowód niezachwianej miłości po śmierci nawet pokaże.

Zadrzała dziewczyna trochę ze strachu, trochę z tej miłośnej drżączki, która po młodych nerwach odgrywa cudowne jakieś a kapryśne fantazje.

— Przysięgam! rzekł Leon.

— I ja przysięgam! powtórzyła Bronia.

A księżyc, który nie takie już widział i słyszał głupstwa, a przez to najfilozoficzniej po znajomych przechadza się szlakach, wyjrzał w tej chwili z poza drzew, i osrebrzył cztery łzy brylantowe w oczach kochanków.

Bo rozmowa ta odbywała się w Cetnarówce, i to aby wszystko najwyraźniej odznaczyć, w miesiącu czerwcu r. 1855. Jak widzicie szanowni czytelnicy, że to niedawno, i że każdy z was mógł się trącić na której z ulic z tą tak wzniośle romantyczną parą.

Oddzieleni od towarzystwa, z którem przyszli, znaleźli, bo kochankowie zawsze znajdą, zacieniony i samotny gaik, i tam nito słowiki, nito synogarlice czułe swe wygłaszali zalecanki.

Wszystko się kończy na świecie, a więc i rozmowa kochanków się skończyła pocałunkiem, który jak dobrze jakiś powiedział poeta, jest mostem co niebo z ziemią łączy. Kruchy to most! ileż to z niego idylicznych kochanków spadło z pieca na łeb, i jeżeli nie połamali sobie karków, to tylko winni byli błotu w jakie zalecieli po uszy. Że się pocałowali niech to nikogo nie uraża! Byli już zaręczeni! A nareszcie czy się kto uraża czy nie, to nic nie pomoże. Kochankowie całują się, choć się do tego nieprzyznają od stworzenia świata. Ile to było dawniej krzyku na niemieckiego Lafontena, w którego powieściach całowano się rzęsiście; a przecież poczciwy powieściarz często mówił prawdę. To też już dziś i inni powieściarze poszli za nim, i kochankom pozwalają nietylko wzdychać, ale i pocałować się czasem.

Pocałunek ten zbudził ich. Wrócili do towarzystwa. Towarzystwo się składało ze staruszki poważnej, zgarbionej już nieco, o słodkim choć już przez wiek nijakim wyrazie na twarzy; z dwóch jeszcze dziewcząt, wesoło skaczących i szczebioczących na wyścigi, i ze staruszka nareszcie tak chudego, iż zastanowić się trzeba było jak te patykowate nogi ruszać się bez złamania mogą. (C. d. n.)

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

II.

(Ciąg dalszy.)

Wcześnie historja wspomina o jakimś narodzie *Połowców*, koczującym w stepach Dońskich, różnym przecie od Komanów, Chazarów i t. p. narodów, należących zda się do hord Azyatyckich, a którzy w epoce przybycia Czyngis-Chana zajmują południową Rossyę. Lecz Połowcy widać byli Słowianie i za najściem na Ruś Mongołów ulegli wspólnemu wszystkich Słowian losowi. Niknie nawet ich imie, które jednak ukazuje nam ślady tożsamości tego plemienia z późniejszymi Kozakami. Od swego głównego przemysłu, łowiectwa czy połowu ryb, zdaje się, mieli nadane sobie imie *Połowców*, przemysłu, który dzisiaj jeszcze charakteryzuje, jak to w przejeździe widzieliśmy, mieszkańców nad-Dońskich.

Uważmy teraz co oznacza nazwa *Kozak* w języku tatarskim. Dzisiaj jeszcze tem imieniem Tatarzy nazywają każdego nie mającego stałej własności, oddającego się napadom i grabieży. *Kaz* w ich języku znaczy *gęś*. Ztąd to właśnie lud przenoszący się bystro z miejsca na miejsce, nakształt stada dzikich gęsi, których niezliczone mnóstwo gnieździ się po sitowiach Donu i Dońca, ochrzczony przez nich został mianem *Kozaków*. Tak więc, być może, nazwa Połowców, owego ludu oddanego polowaniu, łowieniu ryb, a zresztą i rabunkom, za wkroczeniem Tatarów została tylko przetłomaczoną na język ujarzmicieli, zostając przy tem samem społeczeństwie. Bo gdzieżby się podzieli tak nagle owi bitni Połowcy? A zkądby się znów wzięli Kozacy, o których jako o osobnym szczepie tego nazwiska, ani o Cosachii, nie wspominają ani Rubrukuis, ani Plano-Karpini, opisujący południową Rossyę w XIIItym wieku w przejeździe swoim do Chana Tatarskiego. Tak więc ten domysł zdaje się być więcej zasadniczy, niż wyprowadzanie początku Kozaczyzny z gór, ze krwi Czerkieskiej.

Po raz pierwszy w XVtym wieku, gdy obalone zostało władztwo Tatarskie, występują w historyi Rossyi Kozacy Dońscy, a za panowania Iwana IVgo już pod jej opieką zostają.

W podobnem społeczeństwie zbiorowem, łatwo pojąć, że rząd musiał być demokratyczny. Wspólnemi głosy wy-

bierano Atamana, i władzę, lubo nieograniczoną, lecz tylko na lat pięć mu powierzoną. Inna starszyzna także przez głosy była mianowaną; a po ukończeniu każdej wojny, podczas których posiłkowali Rossyą przeciw hordom, jako prości Kozacy, wracali do domów i roli. Podchlebiało to massie, gdy widziała po ukończonych nabiegach, równających się pomiędzy sobą tych, których w boju okrzykiwała bohaterami. Cesarzowa Katarzyna II postanowiła aby oficerowie wracając do domów przy tej godności pozostawali. Odjęto Kozakom prawo wyborcze, i poczęto organizować ich na sposób ogólny rossyjski. Po śmierci ostatniego Atamana Kozaków, grafa Płatowa, w nagrodę usług, jakie Kozacy okazali w wojnie 12go roku, Atamańska władza oddaną została w ręce Jego Cesarskiej Mości Następcy Tronu, zastępowanego przez Jenerał-Lejtnanta, mającego swą rezydencją w Nowo-Czerkasku. On jest Naczelnikiem wojskowym i cywilnym, z przydanym mu do pomocy Wice-prezydentem, w stopniu Jenerał-Majora.

Ziemia Kozaków Dońskich dzieli się na 7 okręgów cywilnych i 4 powiaty wojskowe. Cała armia Dońska składa się z 54 pułków, każdy o 850 ludziach, nie licząc 2ch pułków Gwardyi i 9ciu bateryi Artyleryi Dońskiej, o 8miu działach każda.

Urządzenie czysto-wojskowe nie dozwala przemysłowi i rolnictwu tego kraju dojść do takiego stanu, do jakiego on od natury zdolny. Kozak z urodzenia jest już obowiązanym do służby żołnierskiej, która za granicą do 20tu, w kraju zaś do 25ciu lat się rozciąga. Na stopie tylko pochodnej Kozacy dopiero odbierają żołd ze Skarbu Państwa. Nie płacą oni żadnych podatków, lecz za to własnym kosztem każdy nabywa uzbrojenie i konia.

Ludność Donu dochodzi do 650,000 dusz z górą, i osiedlona jest na 14 milijonach dziesięcin gruntu, do którego dopiero w 1841 roku przywiązano prawo własności i porozgraniczano, wyznaczając po 30 dziesięcin na każdą duszę męzką, a połowę tej ilości na każdego poddanego.

Rolnictwo nie może zbyt kwitnąć w kraju gdzie jedna dziesiąta część ludności najzdolniejszej do pracy, zostaje ciągle na służbie. Zboża więc tyle tylko zasiewają, ile wymagają miejscowe potrzeby. W razie nieurodzaju zasilają się dowozem z gubernii sąsiednich.

Lecz za to chów koni i rogatego bydła głównie zajmuje, mianowicie, mieszkańców stepowej i nieuprawnej części kraju. Najpiękniejsze są tabuny Grafa Płatowa, pochodzące z rassy Czerkieskiej, ulepszonej przez źrebców Perskich i Chiwijskich. Zimą i latem błądzą one w stepach nie znając stajni i same wyszukują sobie pożywienie, z pod śniegów je często odgrzebując. Ztąd odznaczają się siłą i wytrwałością na niewygody. Kałmuki są ich stróżami i posiadają szczególną biegłość w objeżdżaniu najdzielniejszych koni. Z pętlą na długiej tyczce, wpada Kałmuk na koniu w środek tabunu i zarzuca ją na szyję dzikiego źrebca, pochwyconego siodła i zakłada mu uździenicę, a szybko nań usiadłszy, puszcza go wolno po stepie dozwalając mu biegać aż do zmęczenia. Sam zaś zręcznie utrzymuje się na siodle, nie zważając na wszelkie jego wierzgania i brykania. Tym sposobem najdzikszego rumaka usposabia łatwo do jazdy.

Jak wszyscy mieszkańcy południowej Rossyi, tak podobnie Kozacy wiele hodują rogatego bydła, którego trzy rassy zaprowadzili u siebie: kałmucką, węgierską i holenderską. Lecz przed ostatniemi pierwszeństwo oddają tamtej jako do miejscowości przynarowionej. Zimą ona i latem błądzi po stepie, znajdując sobie sama pożywienie i żadnych nie wymaga starań. Nie obejdzie się jednak bez strat, zwłaszcza podczas zim ostrych. Siana bowiem wielkich zapasów Kozacy nie zawsze są w możności przysposobić.

(D. n.)

Rozmaitość.

* **Z Tarnowa.** Pierwszym znakiem życia kolej żelazna Krakowsko-Dembicka odetchnęła drugiego tego miesiąca. Jego Exc. naczelny Jenerał hr. Schlick, wyjechawszy o godzinie 10 rano z Stacyi Podłęże (Staniontki) 3 mile od Bochni i po śniadaniu w stacyi Słotwina (Brzesko) u hr. Wita Zeleńskiego stanął w Dembicy o godzinie 4tej popołudniu. W towarzystwie JEx. znajdowali się W. W. Pan Dimmer, Nadinżynier kolei Galicyjskich, Pułkownik Baron Sebollendorf, dyrygujący wojskiem przy robotach kolei i przyboczny Adjutant JEx. Tę przestrzeń 13milową odbyto kolejnym wózkiem (bahnwagerl) jednokonnym. Z końcem tego miesiąca od Krakowa cała przestrzeń lokomotywom, a w końcu października publiczności otwarta będzie.

* Sir Samuel Martot Peto zbudował kolej żelazną z Bałakławy do obozu pod Sebastopolem i otrzymał w nagrodę szlachectwo. Po wybudowaniu kolei zwrócono mu jedynie poniesione wydatki. Nowy ten baronet jest czigodnym reprezentantem szlachty przemysłowej, której to wkrótce kierunek wszystkich spraw przypadnie. Posiada majątku do 30 milionów szterlingów (300 milionów złr.) których się sam dorobił w rozmaitych przedsiębiorstwach i na cały świat handlowy i przemysłowy swym praktycznym rozumem i wielkiem objęciem wywiera wpływ przeważny. Ma udział w największych trzech kolejach żelaznych, których naczelnym jest prezesem, Chester, Holyheadu i Norfolku, należy do przedsiębiorstw pakietbotów, zabezpieczeń na przeżycie, kolei żelaznych w Danii, Szwecyi, Francyi i t. d. Jako przedsiębiorca ma pod swemi rozkazami kilkanaście tysięcy dozorców, poddozorców, komisantów, rękodzielników, pomocników i wyrobników i t. d. Dosyć jest jego słowa jednego, jego podpisu, a cała prowincja nagle zmienia się jakby od roszczki czarodziejskiej. Wypełniają się doliny znoszą góry, rzeki zmieniają swe koryto i bieg powstają porty, improwizują miasta, jednem słowem, niczem są herkulesowe bajeczne prace, w obec tego co tu wola i pieniądz jednego prywatnego zdziała człowieka,

Tym sposobem powstało miasto ogromne Lowestoft z wielkim portem i olbrzymią tamą portową. Sir Samuel odznacza się między spekulantami wielką dla ogółu pożytecznością swych przedsiębiorstw. To tylko przedsiębiorze, co nie tylko jemu się wypłaca ale i powszechności wielką korzyść przyniesie. A bystre jego pojęcie tysiące mu nasuwa myśli. Wyrachowania jego są niezawodne, a tak

je szybko kalkuluje, jak szybko w głowie poety rodzi się myśl poetyczna. Jest on istotnie poetą przemysłu.

* Wczoraj wyjechał JEx. hr. Schlick jenerał jazdy do Tarnopola, Zaleszczyk i Czerniowiec, zkąd dla zwiedzenia pułku, którego jest właścicielem udać się ma do Jass. Na początku października wraca na powrót do Lwowa, gdzie przez całą zimę zabawić ma.

* Do dzisiejszego numeru dołączone są dwie ryciny mód.

* Na dniu 8 września zasłabło 8, umarło 6, dnia 10 zasłabło 7, a umarło 3. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5589, a umarło 2833 osób.

Przyjechali od dnia 10. do 11. Września do Lwowa.

Smola br. ze Złoczowa. Erazm i Juliusz Korytowscy z Płotycz. Małecki Alex. ze Złoczowa. Zadny Jan z Tarnopola. Zarzycki Tytus z Chotylub. Eminowicz Kajetan z Smerekowa. Sapieha Leon ks. z Krasiczyna. Żukiewicz Konst. z Steniatyna. Czajkowski Hip. ze Sarnek. Orłowski Kalixt z Lisowiec. Bocheński Aloizy z Otyniowiec. Dzieduszycki Edward hr. ze Strzałek. Malczewski Stan. z Cześnik.

Gross Piotr z Koniuszek. Madurowicz Walenty z Truskawca. Ubysz Oktawiusz ze Sambora. Pierzchała Ignacy z Uszkowiec. Dzieduszycki hr. Maurycy z Bóbrki. Łączyński Hipolit z Liska. Czajkowski Jan z Kamionki. Zabierzewski Szczepan z Truskawca. Czermiński Juliusz z Glińska. Krziżek Jakób ze Stryja.

Wyjechali od dnia 10. do 11. Września ze Lwowa.

PP. Karol i Józef Zawadzcy do Stryja. Pałuszyński Józef do Ulicka. Fastenberger Edward do Krakowa.

JJ. Ex. Schlick hr. do Złoczowa. Schwarzenberg książe do Złoczowa. PP. Bochdan Stanisław do Przemyśla. Sozański Celestyn do Przemyśla. Hosiewicz Franc. do Czerniowiec. Piątkowski Antoni do Tarnopola. Korczyński Leon do Lubowa. Korczyński Felix do Korkowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 12. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	113¼	Pożyczka 5%	75¼ —
Hamburg za 100 tal. banco	81¼	Akcye banku	1085
Londyn za 1 funt szterl.,	10 54	Kolej północna	2085
Medyolan za 300 lirów	111¾	Obl. ind.	71
Paryż za 300 franków .	130¼	Nowa pożyczka z loteryą	98
Agio duk. ces.	20⅜	Pożyczka narodowa . .	80 1/16

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	19	złr.	5	kr	21
Dukat cesarski	„	5	„	26	„	5	„	30
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	12	„	9	„	16
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	46	„	1	„	48
Talar pruski	„	1	„	43	„	1	„	44
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	17	„	1	„	18
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	40		92	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	„	40	„	71	„	10
5 proc. pożyczka narodowa		80	„	15	„	80	„	50

Lwów, 10. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 42 złr. 30 kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 24 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 9 złr. 30 kr. do 11 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 9 złr. — kr do 10 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 40 złr. 40 kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 36 złr. 27 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 30 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. 7½ kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 27½ kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**